

Polscy jeźdźcy na olimpiadach

Witold Domański, Bronisław Skulicz



Fragment zawodów rozegranych na stadionie w Sztokholmie podczas Olimpiady w 1912 r.

Już starożytne Olimpiady, których tradycje sięgały VIII w. przed naszą erą, miały w swoich programach konkurencje konne. Można więc powiedzieć, że jeździectwo należy do najstarszych rodzajów sportu i to z pełnymi podstawami fachowymi, jako że pierwszym podręcznikiem sportowo-fachowym na świecie, była książka ucznia Sokratesa - Ksenofonta, wydana w IV w. p.n.e., a zatytułowana „Hippika i Hipparch“, czyli „Jazda konna i naczelnik jazdy”.

Nie znamy dokładnie czasu kiedy ten rodzaj sportu został opanowany przez Polaków, ale z pewnością działo się to znacznie wcześniej niż lechiccy kronikarze zaczęli spisywać obyczaje kraju nad Wisłą. W każdym razie w średniowieczu sport ten w formie turniejów i gonitw znany był w naszym kraju. Dziwi nas więc, że dzisiaj władze sportowe miast oprzeć się na tradycjach jeździeckich oraz szermierczych i obchodzić 500-lecie sportu polskiego, oparły się na gimnastyce i w ten sposób odmłodziły polski sport o pełne czterysta lat.

Tradycje jeździeckie głęboko zakorzeniły się w naszym narodzie, to też nawet wówczas, gdy przez 150 lat nie mieliśmy niepodległego bytu, sztuka jeździecka kwitła wśród Polaków, a skoro tylko wskrzeszone zostały w czasach współczesnych Olimpiady, umiejętności Polaków w tym zakresie były tak wysokie, że reprezentowali oni na pierwszej uwzględniającej konkurencje jeździeckie Olimpiadzie w Sztokholmie w 1912 r. nawet obce barwy.

Chodzi tu o dwóch oficerów carskiej armii por. Sergiusza Zahorskiego i ppor. Karola Rómmla.



Płk Karol Rómmel, kierownik i uczestnik pierwszej reprezentacyjnej drużyny jeździeckiej.



Rtm. Królikiewicz na sławnym Picadorze.

Ciekawa jest droga młodego Rómmela do ekipy olimpijskiej. Skoro tylko dowiedział się, że Olimpiada 1912 r. będzie miała w programie jeździectwo, rozpoczął on intensywne przygotowania, aby poprzez eliminacje, w konkurencji dziesiątków wspaniałych jeźdźców kawalerii i artylerii dostąpić zaszczytu startu na Olimpiadzie. A trudność w zrealizowaniu tych marzeń Rómmela była szczególnego rodzaju. Był on bowiem w owym czasie oficerem gwardyjskiego pułku piechoty. Można sobie więc wyobrazić za jaki dyshonor uważać sobie musieli oficerowie broni konnych, gdy najlepszym w eliminacjach okazał się być „zając” - jak powszechnie nazywano piechurów.

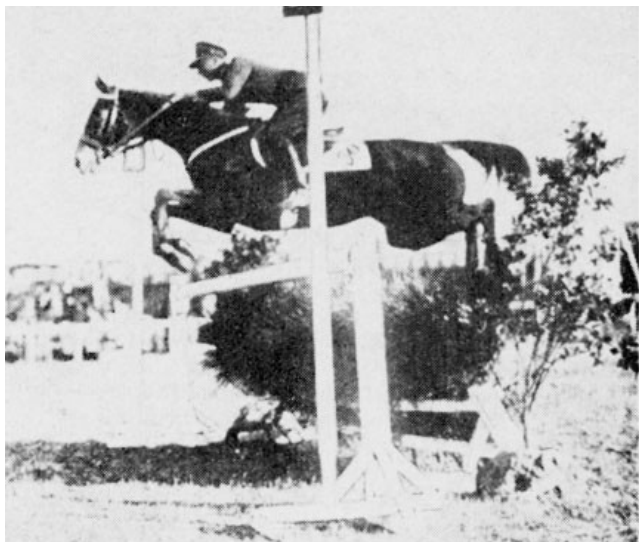
Młody Rómmel upatrzył sobie niepozornego, ale skoczego konika kozackiego Ziablik (zięba), którego kupił od idącego do rezerwy podoficera pułku kozackiego.

W Sztokholmie Ziablik omal nie wyniósł swego jeźdźca na najwyższe podium. Skoczył on bowiem 18 przeszkód mając tylko 4 pkt karne. Niestety jeździec zlekceważył najazd na ostatnią przeszkodę - rów, spadł z konia i „utopił” w ten sposób szanse na medal. Tak tę historię opowiadał sam Karol Rómmel wyjaśniając, że w owym czasie organizatorzy nadsyłali na kilka tygodni przed Olimpiadą szczegółowy plan parcoursu i opis przeszkód, tak że można potem było jechać ten konkurs na 140 cm wysokości i 4 m szerokości niemal na pamięć. Francuz Catiou, który zdobył złoty medal, miał właśnie tylko 4 pkt karne.

Olimpijskim startem w Sztokholmie młody Rómmel ujawnił się jako niezwykle utalentowany jeździec, a powszechnie utarła się wśród znawców opinia, że był on najwszechstronniejszym i najbardziej zdolnym polskim jeźdźcą okresu międzywojennego. Brał potem udział jeszcze w dwóch Olimpiadach (1924 i 1928), ale już jako kawalerzysta, gdyż w odrodzonej Polsce zmienił rodzaj broni na bliższy jego sercu.

Po raz pierwszy w historii olimpiad polscy jeźdźcy reprezentowali biało-czerwone barwy w Paryżu w 1924 r. Rozgrywano tam aż 4 konkurencje jeździeckie: WKKW, skoki, ujeżdżanie i polo. Ta ostatnia konkurencja uchowała się w programie olimpijskim do roku 1936. Polacy wzięli udział w dwóch pierwszych konkurencjach, w WKKW, który nazywano wtedy szampionatem konia i w olimpijskim

konkursie skoków, czyli Prix de Nations.



Rtm. Zdzisław Dziadulski na Hannibalu w Nicei;
zdołał wówczas I nagrodę w konkursie
Prix des Grands Hôtels de Nice.



Por. Kazimierz Szosland na Fagocie;
zdołał na nim I nagrodę i Puchar na konkursach w Rzymie.

Był to okres, w którym polscy jeźdźcy wywalczyli sobie dopiero czołowe miejsca wśród jeździeckich potęg świata. Terenem, gdzie nabierali obycia startowego była naówczas Nicea. Nic też dziwnego, że w roku olimpijskim wybrali ten hipodrom jako próbę przedolimpijską. Ekipa na Paryż została sformowana już w 1922 r. w Grudziądzu, a trenował ją por. Leon Kon. Druga taka grupa przygotowywała się pod okiem ppłk. K. Rómmla w Warszawie.

Wyjazd do Nicei zorganizowano niemal w ostatniej chwili, co mogło drogo kosztować naszych jeźdźców. Na granicy w Zebrzydowicach okazało się, że brak jest zezwolenia władz na wywóz koni. Szczęśliwym jednak zbiegiem okoliczności naczelnikiem komory celnej okazał się były kawalerzysta, wuj dowódcy Pułku Ułanów Krechowieckich pan Minczewski. Kiedy zobaczył, że w transporcie wśród olimpijskich koni znajduje się Krechowiak, koń ofiarowany ekipie przez pułk jego siostrzeńca, wziął sprawę na swoją odpowiedzialność i wypuścił konie do Czechosłowacji.

Starty w Nicei, a potem w Lucernie okazały się bardzo korzystne. Nasi jeźdźcy zdobyli mnóstwo nagród, a w Lucernie byli pierwszą ekipą mityngu.

Jakie konie reprezentowały wtedy nasze barwy? Na ogół były one niewiadomego pochodzenia, częściowo z demobilu. A więc wspomniany już Krechowiak, Amon hodowli krajowej, Lady - niewiadomego pochodzenia - służbowa klacz rotmistrza Antoniewicza, Helusia z Pułku Ułanów Grochowskich, Faworyt, pochodzenia amerykańskiego, koń służbowy mjr. Toczka, wyprężony z działa, Zefer, pochodzenia trapeńskiego, koń służbowy 3 Pułku Szwoleżerów, Picador, taborowy koń pochodzenia amerykańskiego, służbowy por. Królikiewicza, i wreszcie Jacek, również pochodzenia amerykańskiego, służbowy koń 16 Pułku Ułanów.

Po przybyciu do Paryża, gdy konie polskie umieszczono u jednego gospodarza wraz z portugalskimi, bułgarskimi i fińskimi nasi jeźdźcy stwierdzili, że wśród uczestniczących w Olimpiadzie jeździeckich reprezentacji 13 państw konie polskie są najgorsze. Ustępowały im tylko konie fińskie. Przeciwnicy dosiadałi koni masywnych, wysokich, o większej potędze skoku.

W konkursie WKKW próba ujeżdżania nie przyniosła Polakom dobrej pozycji wyjściowej. Przy próbie wytrzymałości trzeba było przebyć 22 km po drogach i ścieżkach, 8 km crossu (24 przeszkody do 120

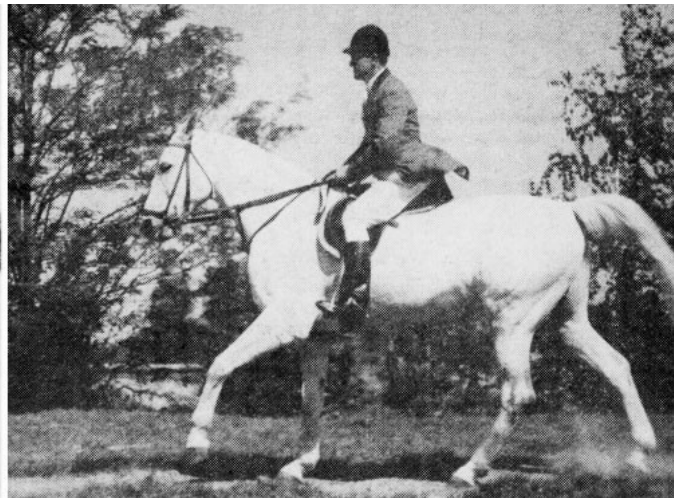
cm) i 4 km steeple'a. Próba ta odbywała się w Auteuil, 14 km od stajen, dokąd konie polskie poszły pieszo, podczas gdy inne (już wtedy) transportowano samochodami. Prawie wszystkie nasze konie pogubiły na tej próbie podkowy i stracono mnóstwo czasu na przekucie. Na 46 startujących koni konkurencję ukończyły 32, w tym wszystkie polskie. Nasza ekipa zajęła 7 miejsce, a indywidualnie najlepszy był K. Rómmel na Krechowiaku.

Ostatnią konkurencją paryskiej Olimpiady była Prix de Nations odbywająca się w dniu 27 lipca. Stadion Colombes wypełniony po brzegi. Na 13 ekip Polska wywalczyła 6 miejsce, a indywidualnie por. Królikiewicz medal brązowy — pierwszy indywidualny medal w historii polskich startów olimpijskich w ogóle. Na tejsze Olimpiady Polacy zdobyli jeszcze jeden medal, a mianowicie kolarze torowcy zespołowo na 4000 m medal srebrny.

Prawdę mówiąc medal srebrny należał się także i naszemu jeźdźcowi, jako że zdobywca drugiego miejsca Włoch Lequio spadł z konia i dostał się z powrotem na jego grzbiet przy pomocy fotoreportera, a pomoc obca była wtedy niedozwolona. Jury jednak „nie zauważyło“ tego błędu i protest Polski odrzuciło. Bliski złotego medalu był por. Szosland na Jacku, którego upadek na ześlizgu z bankietu pozbawił tak wspaniałego trofeum.



Rtm. Henryk Roycewicz na czworoboku olimpijskim w Berlinie na Arlekinie III.



Marian Babirecki na koniu Volt; zdobył na nim tytuł mistrza Europy WKKW w 1965 r. w Moskwie.
Fot. Z. Rozwadowski.

Po Olimpiadzie grupa grudziądzka została rozwiązana, a warszawska jeszcze przez jakiś czas reprezentowała barwy polskie w roku 1925 w Nicei i Londynie.

Przygotowania do Igrzysk w Amsterdamie rozpoczęły się w roku 1927. Tym razem powołano jedną grupę olimpijską, która „szlifowała“ swoją formę kolejno na zawodach w Nicei, Londynie i Nowym Jorku, a w roku olimpijskim w Nicei i Brukseli.

Do ekipy olimpijskiej powołano: Karola Rómmła, rtm. Michała Antoniewicza, rtm. Józefa Trenkwalda i jako rezerwowego mjr. Henryka Dobrzańskiego, wsławionego potem w latach okupacji walkami partyzanckimi, a znanego pod pseudonimem majora Hubala.

W ekipie skoczków znaleźli się: rtm. Michał Antoniewicz, por. Kazimierz Szosland, por. Kazimierz Gzowski i jako rezerwowi rtm. Zdzisław Dziadulski.

Tym razem ekipa startowała niemal wyłącznie na koniach pochodzenia polskiego, a mianowicie Moja Miła (Radwan-Dobra), klacz półkrwi, służbowa por. A. Tuńskiego, dosiadana przez Antoniewicza, Lwi

Pazur (Pogrom-Ukraina II), własność rtm. J. Trenkwalda, Alli, klacz półkrwi, własność K. Szoslanda. Pochodzenia francuskiego była Doneuse (własność K. Rómmla), a irlandzkiego Readgledt (własność grupy sportu konnego) oraz Mylord, na którym jeździł por. Gzowski, własność kpt. Szilagyi.

W Hilversum, gdzie umieszczono konie olimpijskie, stajnie były niezwykle luksusowe, a warunki treningu w parku wprost idealne. Ale i tym razem nasze konie — oprócz Doneuse - wyglądały przy konkurentach jak źrebaki. Ponieważ przy ocenie w próbie na czworoboku brano pod uwagę i eksterier konia, nasze niepozorne wierzchowce zbierały masę dodatkowych punktów karnych. W dodatku klacz Moja Miła, wzięta na 3 tygodnie przed Olimpiadą z toru wyścigowego, okazywała duże zdenerwowanie przechodząc wśród szpaleru publiczności na czworobok, co ujemnie odbijało się na wykonaniu przez nią programu ujeżdżania. Nie na rękę ekipie polskiej było również hołdowanie przez sędziów zasadom niemieckiej szkoły ujeżdżania.

Dlatego Polacy musieli odrabiać utracone w ujeżdżaniu punkty w czasie próby wytrzymałości. Nieźle wypadli również w próbie w skokach, zajmując 3 miejsce, choć należało się im drugie, gdyż jeden z członków ekipy holenderskiej, sklasyfikowanej na pierwszym miejscu, pomylił parcours, czego — podobnie jak w Paryżu - sędziowie „nie zauważyli“. Ostatecznie ekipa polska zdobyła brązowy medal wśród 21 startujących ekip.



Andrzej Orłowski na wał. Bao Day.

12 sierpnia na stadionie olimpijskim w Amsterdamie odbył się Puchar Narodów z udziałem 16 ekip. Konkurencja opóźniła się około 20 min., ponieważ oczekiwano na przybycie królowej Wilhelminy. Siedmiu jeźdźców przebyło parcours bezbłędnie, a wśród nich i por. Gzowski na Mylordzie. W rozgrywce triumfował Czechosłowak Ventura na Eliocie (o pkt.), a nasz olimpijczyk zajął ex aequo 4/5 miejsce z Hiszpanem Nowarrą. Szosland miał 2 pkt. karne, a Antoniewicz 6. Wyjaśniamy, że w

owych czasach za strącenie przeszkody tylnymi nogami karano 2. a przednimi - 4 pkt. W pucharze jechano tylko jeden nawrót.

Olimpiada w Amsterdamie przyniosła jak dotąd najwięcej sukcesów polskiemu jeździectwu: jeden medal srebrny, jeden brązowy i 4 miejsce por. Gzowskiego.

W roku 1929 grupa olimpijska została rozwiązana. Przed Olimpiadą 1932 r. znowu ją powołano, ale do Los Angeles jeźdźcy nie pojechali.

Przygotowania do Olimpiady berlińskiej zaczęły się w Grudniadzu zimą 1935/36. Po startach w Nicei i Warszawie sformowano grupę olimpijską WKKW w składzie: rtm. Seweryn Kulesza (Ben Hur), rtm. Henryk Roycewicz (Arlekin III) i rtm. Zdzisław Kawecki (Bambino). Ponieważ Ben Hur zakulał rtm. Kulesza startował ostatecznie na Toście. W skokach reprezentowali Polskę: rtm. Tadeusz Sokołowski (Zbieg II), por. Janusz Komorowski (Dunkan) i por. Michał Gutowski (Warszawianka).

A teraz kilka słów o koniach. Tośka (Kalina-Olga), lat 11, była koniem służbowym rtm. Zgorzelskiego; Arlekin III (Bafur-Blackfisz), lat 8, to koń rtm. Roycewicza; Bambino (Nokturn-Mimoza), lat 7, był koniem rtm. Kaweckiego; Zbieg II (Derwisz-Brunetka) należał do grupy olimpijskiej i był przygotowywany przez rtm. Dziadulskiego; Dunkana (Amulius-Gazlan IV) przygotowywał mjr Lewicki, a Warszawiankę (Rittersporn-Nadzieja) przygotowywał por. Gutowski. Obok tych koni wypróbowywano również Kikimorę, Savannah (jedyne konie pochodzenia zagranicznego), Arkę, Dionę, Wizję, Zefera i wspaniałą Carmen, własność por. Skupińskiego, która zabiła się pod rtm. Sokołowskim na treningu, a jeździec w tym upadku złamał obojczyk.

Trzeba wyraźnie zaznaczyć, że rok 1935 był kryzysowy dla polskiego jeździectwa. Stare konie się wykruszyły, a nowych - o wysokich walorach na miarę olimpijską — wciąż nie było widać. Trwało ogólne poszukiwanie talentów. Ponieważ poszukiwania odbywały się w różnych pułkach w całej Polsce, a jeźdźcy „wyzwolili“ się w tym czasie spod ręki instruktora, więc i styl jazdy uległ dużemu zróżnicowaniu, co niewątpliwie pogłębiło również wspomniany kryzys. Wyniki tego kryzysu dały się odczuć w konkursie pucharowym w Berlinie.

Do pobliskiego stosunkowo Berlina zabrano obok pełnego wyposażenia także komplet własnych przeszkód, co uniezależniło ekipę od organizatorów. Skoczkowie trenowali na torze w Ruhleben. Faworytem wydawał się być Zbieg, a lękano się o start Warszawianki, klaczy nie znoszącej przeszkód z wodą. Tak więc cała nadzieja wiązana była ze startem w konkurencji WKKW.

Niemcy, podobnie jak i w innych wypadkach, koniecznie chcieli wygrać złoty medal WKKW. Przygotowywali więc niezwykle ciężką próbę terenową i w dodatku w sposób nie fair. Dla przykładu należy podać, że jeden rów z wodą został pokryty rzęsą, co stanowiło pułapkę dla wszystkich koni obcych, tylko nie dla gospodarzy. Pędząc w galopie jeźdźcy walili się przy lądowaniu w głębokim rowie pokrytym rzęsą. Niemcy natomiast najeżdżali na tę przeszkodę w klusie i skakali w najmniej dogodnym miejscu, ale jak się okazało o łagodnym stoku lądowania. Ale i taka pułapka nie zadowalała Niemców dostatecznie. Oto jadącego na erosie rtm. Roycewicza sędzia poinformował, że opuścił jedną z poprzednich przeszkód i będzie zdyskwalifikowany. Kiedy uwagi te powtórzyły się na jeszcze dwóch kolejnych przeszkodach, mimo pewności, że informacja jest mylna, rtm. Roycewicz wrócił się i powtórzył dodatkowo serię trzech skoków, tracąc cenny czas i kto wie czy nie medal. Protest nie pomógł, gdyż nie można było się zadowolić przeprosinami, iż sędzia się pomylił.

Niemal każdy jeździec meldował się na mecie crossu z dużą ilością punktów karnych. Rekordzistą był Czechosłowak, który miał ich aż ponad 9000. Rtm. Kulesza miał na trasie aż trzy upadki, rtm. Roycewicz tylko jedną na „żabim dołku“, jak nazwano ową pułapkę, a rtm. Kawecki wrócił z trasy tak „sponiewierany“, że minął celownik nieprzytomny, nie wiedząc nawet, że to już koniec mąk. Na trasie rekordowa liczba 200 tys. widzów patrzyła na ową rzeź koni i jeźdźców zorganizowaną przez żądnych

za wszelką cenę złotych medali organizatorów spod znaku swastyki.

Bohaterem ostatniej próby był jeździec niemiecki Wangenheim, który mimo jazdy ze złamaną ręką i przewrócenia się z koniem naparcoursie ukończył próbę ratując złoty medal dla Niemiec. Na 17 ekip tylko 6 ukończyło konkurencję w komplecie. Polacy znaleźli się na 2 miejscu i zdobyli srebrny medal.

Puchar Narodów rozegrano na 20 przeszkodach do 150 cm i szerokości do 5 m. Parcours był ustawiony tak ciasno i kręto, że trzeba było skakać wszystko z bardzo wolnego tempa. Było to oczywiście bardzo niekorzystne dla koni polskich. Warszawianka po skoczeniu czysto 11 przeszkód skończyła się w wodzie. Zbieg, po kilku zrzutkach i trzech wyłamaniach wyłączony został tam, gdzie Warszawianka. Konkurs ukończył jedynie Duncan pod Komorowskim, ale zbierając się za późno na każdą przeszkodę narobił wiele błędów. Z 18 ekip tylko 6 ukończyło Puchar Narodów.

Do mającej się odbyć w 1940 r. Olimpiady w Helsinkach przygotowywała się nowa grupa olimpijska. Jak wiadomo wojna przerwała te przygotowania. Olimpijczycy zamienili konie sportowe na służbowe i walczyli na frontach całego świata. Wielu z nich oddało swoje życie, inni szczęśliwie przetrwali i mieszkają bądź w kraju bądź poza jego granicami. Mają jednak stale żywy kontakt z jeździectwem, przekazując swoją wiedzę nowym adeptom tej pięknej dyscypliny sportu. Konie ewakuowane z Grudziądza w czasie działań wojennych w dużej części spaliły się na popasie opodal Góry Kalwarii.



Mjr. Leon Kon na przeglądzie jeźdźców. Fot. Br. Lachowicz.

Po 24 latach, bo dopiero w 1960 r. w Rzymie zjawili się znów w olimpijskich szrankach Polacy. Do tego występu doszło dlatego, że w 1959 r. na mistrzostwach Europy w Harewood (W. Brytania) zajęła nasza ekipa IV miejsce, co było spełnieniem warunków postawionych przez PKOl.

Od początku 1960 r. ten sam co niegdyś trener - mjr Leon Kon - oraz mjr Jan Mossakowski

przygotowywali w Kwidzynie ekipę do startu na Olimpiadzie. Było to wspaniałe zgrupowanie. W nastroju wielkiej koleżeńskości, ale równocześnie w „okowach“ rzetelnej dyscypliny, jaką stwarzał zawsze mjr Kon, ćwiczyli polscy olimpijczycy przez kilka miesięcy. Duży nacisk położono na przełamanie występującej u Polaków niechęci do ujeżdżania konia. Wygalopowano wspaniałe konie. Wydawało się, że bez medalu nie wrócą. Na ostatniej próbie przedolimpijskiej Marian Kowalczyk złamał rękę. Już w Rzymie dwa konie (Krokosz i Gafme) zakulały i dlatego Orłoś i Roszczynialski musieli startować na koniach zapasowych, niewątpliwie słabszych.

Ostatecznie ekipa olimpijska startowała w składzie: Andrzej Orłoś na koniu Klarys (Diadem-Klara), lat 7, Marian Babirecki na koniu Volt (Polarstern-Venus), lat 7, Marek Roszczynialski na Wiźmie (Märzhase-Wenera), lat 7, i Andrzej Kobyliński na Wolborzu (Märzhase-Wolborka), lat 9.

W ujeżdżaniu nasi jeźdźcy nie sprawili zbyt dobrego wrażenia na jury, mającym jako wzór pruską szkołę jazdy. W dodatku Babirecki, który miał duże szanse na medal, zebrał trochę ujemnych punktów za sylwetkę jeźdźca.

Próba wytrzymałości, według sądu tych, którzy widzieli wiele Olimpiad, była najtrudniejszą z dotychczasowych. Z przerażeniem słuchali na starcie zawodnicy meldunków z trasy o wykruszaniu się konkurentów na trudnych przeszkodach. Jadący jako 14 Babirecki był trzecim, który ukończył cross. Kiedy wieść, że skoczył bezbłędnie najtrudniejszą przeszkodę dotarła na linię startu, konkurenci odetchnęli z ulgą: a więc cross jest do przebycia.

Niestety tylko dwa konie - Volt i Klarys zameldowały się na mecie; Wolbórz skończył się na owerze nad rowem (przeszkoda nr 9), a Wiźmie zabrakło do szczęścia skoczenia jeszcze dwóch przeszkod, gdyż „ugrzęzła“ w bankiecie (nr 27). Następnego dnia sędziowie uznali, że tylko Babirecki dobrze przebył próbę w skokach, a Orłosa zdyskwalifikowali, ponieważ jakoby najechał na jedną z przeszkod omijając ustaloną trasę. Ponieważ na rysunku parcours'u tego obowiązku nie uwidoczniło, szef polskiej ekipy Jan Mossakowski (mjr Kon był członkiem jury) złożył protest, który uwzględniono dopiero długo po Olimpiadzie, przyznając Orłosiowi 17 miejsce w olimpijskim WKKW. Marian Babirecki był ósmy.

Mając już te doświadczenia PZJ rzetelnie zaczął przygotowywać ekipę do Olimpiady w Tokio. Niestety koszt 30 tys. dolarów za transport koni przekreślił jej marzenia. A ekipa rzeczywiście była dobrze przygotowana. Najlepszym tego dowodem jest fakt, że w następnym 1965 r. na mistrzostwach Europy

WKKW w Moskwie Babirecki na Volcie był pierwszy, a Zbigniew Ciesielski na Skoku piąty.

Przed nami Meksyk. Czy pojedą? Któż to może przewidzieć. Rzetelnie przygotowują się do startu zarówno skoczkowie, jak i specjaliści od WKKW. Oby dana im była możliwość wykazania efektów swej pracy.